



Po porządkach i nastawieniu drugiej pralki wzięłam chłodny prysznic, aby oprócz potu zmyć z siebie narastający niepokój. Po-tem rozwiesiłam pranie w ogrodzie, zaparzyłam herbatę i w turbanie na głowie i szlafroku usiadłam na tarasie, rozkładając na stoliku, obok paczki papierosów, filiżanki rumianku, fotografie babci Magdaleny i dziadka Karola. Skupiłam wzrok na zatrzymanych na fotografiach postaciach, zniecierpliwionej twarzy dziadka Karola i spokojnej babci Magdaleny.

– Czekam na was – rzekłam odważnie, zastanawiając się, czy przypadkiem w swoich wymysłach nie dążę do schizofrenii.

Około godziny dwudziestej przebrałam się w dżinsy i białą koszulkę, przeklinając przyjaciółki za brak dresu, który suszył się na sznurku w ogrodzie. Rozwiesiłam następne pranie. Oglądnęłam prognozę pogody, przytulając się do sztywnego ciała mojego zahipnotyzowanego kota.

– Musisz mieć trochę ruchu – zgasiłam telewizor na reklamach i rzuciłam go z kanapy.

Zabrałam się za przygotowywanie kolacji. Krojąc kromki, o mały włos nie ucięłam sobie palca, porażona apokaliptyczną wizją.

– Cholera! Dlaczego o tym wcześniej nie pomyślałam?!

Wypadłam z kuchni i rozpoczęłam gorączkowe poszukiwania krucyfiksu. Po piętnastu minutach dom był przewrócony do góry nogami i wyglądał tak samo jak rano. I chociaż uważałam siebie za osobę wiary katolickiej, krucyfiksu nie odnalazłam. Znalazłam za to medalik Matki Boskiej de Notre-Dame, pamiątki pewnego pięknego lata spędzonego w Paryżu. Zawiesiłam go czym prędzej na szyi.

Po chwili ogarnął mnie lęk, że to może nie wystarczyć. Wygrzebałam więc z kosza na śmieci jeden z narysowanych wczoraj przez Annę pentagramów i zmiętą kartkę włożyłam do kieszeni.

A potem straciłam kontrolę nad tym, co robię. W kieszeniach obok pentagramu znalazły się również: Ankh – krzyż egipski (nie pamiętam, skąd się wziął), śmiejący się Budda (prezent od ojca

na piąte urodziny), Re-Skarabeusz (prezent od ojca przywieziony z Egiptu), figurka hinduskiej Kali z girlandą świętych głów (prezent od ojca z odległej Azji), drewniana statuetka Kruka plemiona Navaho (dar od ojca z wyprawy do rezerwatów indiańskich), figurka azteckiego bożka (przywieziona przez ojca z Meksyku), oraz figurka świętego Antoniego (podarunek od babci Jasi, z nabożnymi życzeniami, abym nigdy nie zgubiła rozumu). Dionizosa o boskich atrybutach, którego kupiłam na pchlim targu w Krakowie, zostawiłam w spokoju; nie sądziłam, by patron wina i ekstazy mógłby mi być pomocny. Poza tym był półmetrową figurką.

Działając pod wpływem obłędu, zapaliłam menorę, i nie mając już możliwości wypchania kieszeni, położyłam w widocznym miejscu na ławie Biblię i Koran, następny prezent od ojca.

Tak uzbrojona po zęby w święte wizerunki, wyszłam na taras i trzęsącymi się rękami odpaliłam papierosa. Niezdolna do najmniejszego zgięcia nóg przez wypełniający kieszenie moich dżinsów i wbijający się w moje ciało pokaźny zbiór mnogości symboli religijnych naszej małej planety, musiałam pozostać w pozycji stojącej. I po chwili zaśmiałam się pod nosem, zdając sobie sprawę z idiotyczności własnych działań. Powoli zaczęłam wyciągać na stół figurki świętych, mędrców, bożków i bóstw.

Pośród porozrzucanych zdjęć przodków, pustej filiżanki z fusami herbaty i paczki papierosów, stworzyłam długi, ekumeniczny sznurek trzymających się za ręce bóstw. Do ich eklektycznego tańca puściłam łagodne melodie walców Straussa. Zostawiłam palący się świecznik i ponownie zabrałam się za bałagan. . .

Godzinę później nienaturalny podmuch wiatru naruszył stateczność płomienia, odrywając mnie od lektury nowej Gretkowskiej. Ro' o i Perelka wybiegły przez okno balkonowe, Bastet drzeмиąca na moich kolanach tajemniczo miauknęła. Odłożyłam lekturę, zwracając się do rudej kocicy:

– Mówisz, Bastet, że już są? – i nie licząc na możliwość odpowiedzi, dodałam: – Pora wyjść im na przywitanie, ale ty pójdziesz ze mną. – Czułam przy niej irracjonalne bezpieczeństwo.

Wzięłam ją na ręce i wyszłam w ciemność ogrodu. W ciszy nastającej nocy słyszałam przyjazne popiskiwanie psów. Ruszyłam

w ślad za nimi, chociaż trochę trzęsły mi się nogi. W połowie dystansu, jaki mnie dzielił od psów, Bastet wbiła w moje ramiona pazury i wyrwała z uścisku, czmychając z powrotem do domu.

– Nie zostawiaj mnie samej!!! – krzyknęłam za nią, obracając się, lecz byłam na przegranej pozycji. W salonie kolorowe światło telewizora przyzywało swego największego czciciela do godzinnych medytacji. Tym samym mit o inteligencji i zdolnościach manualnych mojego kota, sprowadzających się do obsługi telewizora, padł. Byłam roztrzęsiona się na dobre i postanowiłam udawać karłowatą jabłonkę, ale zdradziły mnie moje psy. Podbiegły do mnie, łaszcząc się.

– Łakomczuszki z tych piesków, wiesz, wnusiu?! – usłyszałam dochodzący z naprzeciwka głos. Z mroku wyłonił się dziadek Karol. – Ależ wyrosłaś, wnusiu! – podszedł do mnie bliżej i mocno uściśnął. Jak na nieboszczyka i ducha zarazem był ciepły i namacalny. Nosił białą, lnianą koszulę, białe, luźne spodnie oraz parę srebrzystobiałych skrzydeł. Jego uśmiech był ten sam, ten sam był też zapamiętany przeze mnie z dzieciństwa ciepły urok. Duże, błękitne oczy dziadka wyrażały potulną łagodność. Rozwichrzona czupryna siwiejących włosów, odsłaniająca łysiejące zakola, zdradzała gnieźdzące się w dziadkowym umyśle niezaspokojoną pasję, namiętność i niecierpliwość. Nic nie wskazywało, że jest zdolny do przemienienia się w krwiożerczego potwora, więc mój strach nieco zelżał. Poza tym emanował jasnym światłem. Ale nadal strach nie pozwolił mi wypowiedzieć jakiegokolwiek konkretnego słowa.

– Yyyy... – wydusiłam nieartykułowane dźwięki.

– Czy dobrze rozumiem, że pytasz o babcię Magdalenę? – dziadek starał się mi pomóc. – Poleciała włączyć telewizor, lecz teraz stoi za twoimi plecami.

Dziadek otoczył mnie ramieniem i obrócił moje przemienione w słup soli ciało. Oślepiąca światłem padającym z domu, nie mogłam dostrzec jej twarzy. Szczupła, wyższa ode mnie, stała wyprostowana, dostojna w swojej długiej, jasnej sukni i ze srebrzystobiałymi skrzydłami. W zalegającej ciszy przyglądałyśmy się sobie. Ale to ona miała po swojej stronie światło. Wreszcie rzekła:

– Pokój z tobą, Magdaleno, Córko Róży i Wiatru.

Po usłyszeniu tej dziwnej brzmiącej formułki naszła mnie konkluzja, której najbardziej się obawiałam: że gen szaleństwa jest dziedziczony z pokolenia na pokolenie.

– Gen szaleństwa mogłaś odziedziczyć jedynie po dziadku Karolu – nieoczekiwanie odpowiedziała moim myślom i ujęła mnie pod ramię. – A teraz przestań się trząść i zaproś nas do siebie.

Moje przerażenie rozprzeczło się pod wpływem jej dotyku i zaczęłam pewnym krokiem iść obok zmarłych przodków. Odzyskałam również mowę i zaproponowałam filiżankę herbaty.

– Sama zaparzę sobie herbatę, Magdaleno. Z resztek moich bezcennych zbiorów, które ocalały przed twoimi okrutnymi czystkami – babcia oznajmiła urażonym tonem.

– Ten kotek, wnusiu, niech sobie ogląda telewizor.

Gdy przechodziliśmy przez salon, dziadek nerwowo zerknął na Bastet i wyjaśnił zasadę współoddziaływania kotów na anioły, aniołów na koty oraz wpływ elementu neutralizującego to sprzeczne z logiką zachowanie, czyli mojego kolorowego telewizora.

Usiedliśmy z dziadkiem Karolem przy kuchennym stole, a babcia zajęła się przyrządzaniem herbaty, sypiąc do filiżanek zasuszone liście podejrzanego wyglądającego zielska.

– Na przeziębienie. Wczorajsze ogrodowe akrobacje i ekscesy raczej nie zahartują osoby o tak niedbałym trybie życia – przesłała mi dobitną uwagę.

Skarcona, lecz nieczująca winy i świadoma już, kto za tym wszystkim stał, przyglądałam się jej. Przyprószone siwizną, lecz o lśniącej czerni włosy upięte były w elegancki kok. Twarzy z siateczką zmarszczek, z nieco ziemistym odcieniem cery, ze zmęczonymi obwódkami pod pięknymi oczami o kociej barwie tęczy, w ciemnej oprawie brwi i długich rzęs, które jak jakiegoś cennego skarbu chroniły ostre rysy nosa, wąskich ust ułożonych w wiecznym kaprysie i odstającym podbródka.

Surowa, zdyscyplinowana twarz. Nawet jestem do niej podobna – pomyślałam. Z pewnością też miała w młodości dużo kompleksów...

– Czyżby?! – babcia Magdalena błyskawicznie odwróciła się od kuchennego blatu. – Ileż nieprzespanych nocy z powodu wąskich

ust! Ileż zmarnowanych wieczorów, nakrapianych łzami nad własnym nosem! Nieprawdaż?! Siedzieliśmy z dziadkiem obok, ochraniając cię przed myślami samobójczymi – ironizowała.

– Nieładnie, babciu. Nie czyta się w cudzych myślach! – zaatakowana, odpowiedziałam atakiem. – To mój prywatny teren z wbity tabliczką „Zakaz wstępu”!

– A pamiętasz wizytę w klinice chirurgii plastycznej – nie przejęła się moimi słowami – którą odbyłaś po to, by zasięgnąć informacji na temat zabiegu wypełnienia silikonem ust? Byliśmy tam. Dzięki nam numer z fałszowanym podpisem na czeku twojej mamy nie przeszedł. Czy wiesz, że ta prywatna klinika zamiast silikonu wstrzykiwała swym klientkom oleiste świństwo wyżerające ich skórę od wewnątrz?!

– Przepraszam – poczułam skruchę, przypominając sobie tę aferę.

– Mnie nie musisz przeproszać – odwróciła się i zajęła nalewaniem wrzątku. – Tylko zastanów się, co jest dla ciebie ważne. . .

Dziadek Karol cichutko, nie chcąc przeszkadzać, wstał z krzesła.

– Może wyjdę na zewnątrz? – zapytał niezręcznie.

W samą porę, bo dostałam jeszcze jedną naganę od babci na temat szkodliwego nałogu palenia papierosów, w której wspomniała, że przyczyną jej śmiertelnego raka płuc, zabijającego ją w przeciągu trzech miesięcy, było nadmierne przywiązanie do zgrabnego papierosa. Przywiązanie bez wzajemności, bo odpłaciło jej za trzydzieści lat wierności cierpieniem i bólem. Przez resztę wieczoru nie śmiałam wyciągnąć papierosa z paczki.

Usiedliśmy na tarasie, gdzie owiało nas ciepłe, czerwcowe powietrze i rozmawialiśmy o moim życiu, o ich ziemskim życiu, o Piotruni, o ich anielskiej ingerencji w losy naszej rodziny, o śmierci, o wszystkim, o niczym. . .

Świtało, gdy postanowili wracać do swojego niebiańskiego świata.

– Ale przecież jest jakiś ważny powód, dla którego zjawiliście się w moim życiu?! – zapytałam przy pożegnaniu, ginąc w objęciach dziadka.

– Nie bądź niecierpliwa. Wszystko ma swoje miejsce i czas – powiedziała babcia, składając na mym czole pełen rezerwy pocałunek.

– Nie pośpieszaj losu – dodał dziadek.

I wzniesli się na swych skrzydłach, znikając na horyzoncie purpurowego nieba coraz dalej i dalej...



– Co?!?! – wykrzyknęłam, czując, jak wzburzona we mnie krew powoduje palpitacje serca i ból głowy.

– Uspokój się, wnusiu! – dziadek klepał mnie czule po ramieniu i uspokajająco mówił. – Zaprawdę nie ma się co denerwować, to brzmi tylko tak groźnie...

Łamiąc niepisaną umowę między mną a babcią, sięgnęłam po papierosa i zaciągnęłam się porządnie dymem. Po czym wstałam i odeszłam od nich, zastanawiając się, czy aby nie stanowią dla mnie realnego zagrożenia. Traciłam zaufanie.

– Sugerujecie, że nie mam pieprzonego serca i żeby znalazło się tam, gdzie jest jego miejsce, muszę udać się do waszej piep... – ugryzłam się w język – krainy i udając umarlaka, którym notabene będę dla świata realnego, stanąć przed jakimś cudacznym Trybunałem do Spraw Beznadziejnych Przypadków, przy jakimś cholernym Urzędzie świętego Tadeusza, po to, żeby ktoś, cholera, nie wiadomo kto, to cholerne serce wsadził mi z powrotem na miejsce...?! – zrobiłam krótką pauzę, sprawdzając, czy nadążają. – Przepraszam? A czy włożenie mojego serca jest rodzajem symboliki, czy towarzyszyć temu będzie rytualne wrywanie flaków i moich narządów wewnętrznych? – I mknęłam dalej. – O! A jeśli okrutny demon następnym razem zechce skraść mi macicę? Czy po nią też będę musiała odbyć pielgrzymkę?

Na dziadka obliczu zagościł niezręczny uśmiech. Babcia zaś bębniła palcami o blat stołu; wyglądała na bardziej zainteresowaną wybijanym rytmem niż moimi słowami.

– O Boże!!! Ja żyję w pieprzonym dwudziestym pierwszym wieku! Jestem kobietą nowoczesną, samowystarczalną, mądrze kieru-

jącą swym życiem, nieżałującą swoich decyzji, kochającą wygody, światła miast i wysokie obcasy! – recytowałam zasłyszane od Małgorzaty bzdety. – Tylko w ostatnim czasie brakuje mi męskiego penisa... Ale wiecie co? Ja mam serce! Oj, mam! Kocham moje dziecko, kocham moją mamę – zaczęłam wyliczać na palcach – kocham moich przyjaciół, moje psy, kocham ludzkość w ogóle, pominawszy poszczególne jednostki! Bez większych uprzedzeń zaakceptowałam waszą inność, a wy każecie mi przenosić się na tamten świat?! To się nazywa niewdzięczność. O, nie! Nie będę tego dłużej tolerować. Dzwonię po egzorcystę! – ruszyłam do salonu po telefon komórkowy.

– Zamilcz! – gromowładny głos babci Magdaleny rozdarł powietrze.

Odwrociłam się z gniewem na pięcie, stając twarzą w twarz z tą skrzydlatą kobietą. Mój gniew błyskawicznie się ulotnił, przeobrażając w potulny lęk. Stała z rozłożonymi srebrzystobiałymi skrzydłami, stwarzając wrażenie drapieżnego ptaka, szykującego się do ataku, i wpatrywała się we mnie swymi oczami, w których rozbłysła nieznająca strachu dzikość.

– Siadaj tutaj i milcz! – rzekła i wskazała na opuszczone przeze mnie przed momentem krzesło.

Usiadłam bez słowa sprzeciwu.

– Nie mam pojęcia, po kim odziedziczyłaś swój rozum i, nazwijmy to, specyficzną drogę dedukcji, ale ja umyvam od tego ręce, to znaczy geny. Co do twoich wulgaryzmów, jestem nimi rozczarowana. Twoją osobą również. Co do penisa, i owszem, brakuje ci porządnego, jak to określasz, „pieprzenia”, ale trzeba być stu-procentową idiotką, by nie rozumieć, że gra nie jest warta świeczki – zakończyła z niesmakiem długą listę sprowadzających mnie na ziemię epitetów, po czym usiadła i złapała mnie za rękę. – Wnusi, jesteście tutaj, by ci pomóc! Spójrz, trzymam cię za rękę! Możesz zamknąć oczy i udawać ślepcę, ale nim nie jesteś! Oczywiście masz wybór, Magdaleno, boski prezent – wolną wolę...

– Mit wolnej woli od dobrego ojca staje się, babciu, niemodny – rzekłam zrezygnowana.

– Magdaleno! – troskliwie pogłaskała mnie po policzku. – Może

i los już zdecydował o twojej przyszłości na długo przed twoimi narodzinami, ale nie obwiniaj go o oszustwo, bo inaczej stracisz sens własnego istnienia. Poddając się w tym momencie, zamkniesz się w rzeczywistości wypełnionej domem, pracą, ludźmi, rodziną. Lecz kontrolując ten świat, z roku na rok będziesz miała wrażenie, że obrastasz grubym, twardym pancerzem. Pobłogosławisz Piotruńnię, gdy będzie wyruszał w swoją drogę, pożegnasz kilku bliskich, znajdziesz mężczyznę, który wypełni lukę samotności, lecz nie ugasi twojego rozgoryczenia. A gdy srebrna pajęczyna zasnuje twoją skroń, wydasz ostatni bolesny krzyk, że oszukiwałaś samą siebie.

Wzruszyłam się, śledząc oczyma wyobraźni scenariusz babci-nych słów. Łzy popłynęły mi po policzkach. Dziadek podał mi chusteczkę.

– Ale jaką mam gwarancję, że nie wypowiem tych słów na końcu drogi, podążając z wami za rękę? – zapytałam przez łzy.

– Magdaleno! My, aniołowie, nie mamy mocy prorokującej wydarzenia i znającej nienarodzoną przyszłość... Ale zaręczam ci, gdy odzyskasz serce, które do ciebie należy, poczujesz, naprawdę poczujesz, że los twój się wypełnił – ścisłała mnie mocno za rękę i dodała cicho. – Masz niezwykłą moc, wnusiu. Ale by ją osiąść, musisz się obudzić...



Ponure cumulusy i ziąb towarzyszyły moim przodkom podczas lipcowych wizyt w domku na wzgórzu. Było też kilka gradobić i huragan, który dzięki nadprzyrodzonym mocom babci Magdaleny nie nadwreżyły starego dachu domu.

– Lecz czymże jest kapryśna pogoda wobec kaprysów losu? – powiedziała babcia Magdalena, zaczynając opowieść. – Na północnym krańcu niebiańskiej przestrzeni Boski Architekt oddzielił bezpiecznie Krainę Aniołów lodowatymi wodami Morza Północnego i zamienionymi w sople, nieprzebytymi wierzchołkami Gór Lodowych, od Pustki, która była niczym przez długie, spokojne wieki. Do czasu, gdy nie zamieniła się w ziejącą cierpieniem i obłędem Krainę Mroku z oszalałym od nienawiści władcą, wy-

niesionym przez bezbrzeżny ból na tron. I nazwano go tysiącem imion. I przybierał formy o tysiącach kształtów. I stał się wrogiem.

Patrole Armii Archanielskiej strzegły niebiańskich przestrzeni przed najazdami i napaściami przybierającego najobrzydliwsze kształty i posługującego się najhaniebniejszymi podstępami wroga. Lecz tak jak kraina bezskrzydłych An-Arkhe, tak i ludzka Ziemia stanęły przed złem otworem. Tak jest do czasów dzisiejszych – babcia zamyśliła się. – ... Pewnego dnia Bestia Oblędu i Czar-ny Ptak Rozpaczy zostały spuszczone z łańcucha mrocznego pana i podążyły w kierunku ziemskiej egzystencji, by nasycić krwiożer-cze pragnienia, rozszarpując marną ludzką istotę w strzępy bólu, cierpienia i przerażenia. . .

To właśnie Bestia Oblędu doprowadziła twojego Piotra do szaleństwa i odbierając życie, pognała z powrotem w czeluście mroku. A Ptak Rozpaczy? Zadowolić się musiał tylko twoim sercem, wyr-rywając je szponami z twojego ciała, trzymającego się wiary w ży-cie. . . Tak, Magdaleno – babcia odpowiedziała moim myślom. – Twoja małeńka wiara uratowała cię przed krokiem samobójcy. Nie my, kochana Magdaleno. My, skrzydlaci, nie mamy mocy panują-cej nad waszymi emocjami, odwodzącej was od zamiaru zadania ciosów, nie chronimy przed konsekwencjami waszej ułomnej natu-ry. . . Nasza niewielka ingerencja w ludzki świat ogranicza się do splotów okoliczności, subtelnych znaków w codzienności i metafo-rycznych podpowiedziach w świecie snów i marzeń, których i tak nie rozumiecie. . . Ludzki kult rozumu. – Ze smutkiem pokręciła lekko głowę.

– Czy Piotr jest w Krainie Mroku? – zapytałam cichutko, prze-widując odpowiedź, którą wpajano mi od dziecka na lekcjach ka-techezy.

– Nie, Magdaleno. Piotr nie zasługiwał na zatęchły loch w Kra-inie Mroku. Istnieją nieporównywalnie większe hańby, których nie da się zmyć.

– Czyli jest aniołem?! – ucieszyłam się.

– Targnięcie się na własne życie nie jest szeroko akceptowaną i powszechnie popieraną praktyką przekraczania granicy dzielącej nasze światy. . . Piotr nie posiadał pary skrzydeł – poważnym tonem

ucięła moje mrzonki. – Przykro mi, wnusiu, ale do Niebiańskiej Krainy trafiają ci, którym jest to przeznaczone. Nie mogę ci nic więcej powiedzieć. Wasze losy zostały rozdzielone. . .

– Teraz musisz zrobić porządek we własnym życiu – dziadek czule otoczył mnie ramieniem.



Zaczęłam porządkować w moim życiu od tresury psów, które oprócz tego, że były niezdyscyplinowane (nadal nie reagowały na swoje nowe imiona), prowadziły bałaganiarski tryb życia (o czym świadczyły kłęby sierści, ślady łap na parkiecie, rozrzucone jedzenie wokół miseczek), to co gorsza prowokowały mojego syna, by szedł w ich ślady.

A Piotrunia przy nich się rozbrykał. Znów musiałam przyznać rację mojej mamie, przestrzeń z nieograniczonym horyzontem przez cień bloków i własny ogród, nieokolony jak osiedlowy skwer zieleni parkanem, sprawiły, że nie tylko Piotrunia, ale i ja oddychałam głębiej. Niestety, na całkowitą swobodę nie mogłam sobie pozwolić, spoczywał na mnie obowiązek wychowania mojego dziecka i uczynienia z niego człowieka, mężczyzny, obywatela, przyszłego partnera i rodziciela. Ostatnio na dodatek przykuł moją uwagę cytat Colette: „Szczęśliwe dzieciństwo to kiepskie przygotowanie do kontaktów z ludźmi”. A Piotrunia spędzał całe popołudnia i wolne dni na gonitwie z Ro’o po ogrodzie, polowaniu na majowe chrabąszcze, które wyjątkowo w tym roku, spóźnione, pojawiły się w lipcu, tropieniu Bastet, która zniknęła na długie godziny. . . Ktoś musiał ponieść konsekwencje, wypadło na psy.

Tego popołudnia jak co dzień z ulgą wstawiłam rower do szopy, otarłam pot z czoła i przebrałam się w dres. Zaparzyłam kawę i rzuciłam coś na ząb. W tym czasie poprosiłam Piotrunię o przygotowanie patyków, które znaleźliśmy w drodze powrotnej z pracy i przedszkola, i zebranie na tarasie wszystkich mieszkańców domu. Z filiżanką w ręku i surowym wyrazem twarzy zjawiłam się na zbiórce. Wszyscy, nie wyłączając Bastet, którą Piotrunia siłą przytrzymał, patrzyli na mnie z niezrozumieniem.